Rocznik I. Kraków 15-go lutego 1908. Nr. 5.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
w AUSTRYI na rok 3 korony — na pół roku 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC na rok 3 kor. 50 hal. — Do AMERYKI na rok 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Wolska 28.

Człowiek przedhistoryczny.

Gdy mówimy o człowieku przedhistorycznym, to mamy tu na myśli człowieka żyjącego w owych bardzo odległych czasach, o których historya nic nam pewnego nie zostawiła, a dzieje owych czasów odtwarzamy sobie jedynie na podstawie różnych śladów życia, znalezionych w wykopaliskach.

Otóż w owych przedhistorycznych czasach nie było tu, gdzie dziś mieszkamy, ani wsi, ani miast, ani domów, ani kościołów, ani pól uprawnych i dróg bezpiecznych, a były tylko wody, bagna i ogromne nieprzebyte lasy, ciągnące się na setki mil długości i szerokości.

W tych borach i lasach olbrzymich nie było ludzi. Gospodarowały w nich tylko niepojęcie liczne dzikie zwierzęta, niedźwiedzie, tury, łosie, żubry i t. d. A las cały rósł na ziemi mokrej i poprzecinany był rzekami i potokami, jeziorami i bagnami nieprzejrzanemi.

Gdzieniegdzie, na bardziej wyniosłych i suchszych miejscach, co kilkadziesiąt i kilka set mil odległych od siebie osiedlali się ludzie, na brzegach jezior nieporosłych lasami. Wokoło sadyby takiej rozprzestrzeniały się lasy i wody. Na tych miejscach czuł się człowiek bezpieczniejszym niż w samym lesie, gdzie nań czyhały dzikie zwierzęta, wtedy bez porównania dziksze i śmielsze, niż te, które dziś istnieją. W lesie był człowiek wobec tych wrogów bezbronnym.

Tu zaś, nad wodą, aby od tych drapieżników się uchronić, ludzie budowali sobie chaty nawodne. Wbijali grube pale, ogromne pnie, drzewa całe w dno jeziora z mozołem i trudem niepomiernym. Na te pale kładli pnie nieociosane, na tak zbudowanym pomoście stawiali szałasy. Gdzieindziej znów, w bardziej górzystych okolicach, ludzie pomieszczali się w jaskiniach i norach, a wejścia do tych jaskiń zamykali, zataczając przed nie ogromne kamienie. Trudno sobie wyobrazić życie tych ludzi. Nie mieli oni żadnych prawie sprzętów, ani narzędzi; nie mieli łóżek, stołów, stołków, ław, noży, siekier; nie znali chleba, nie gotowali mięsa, żyli surową rybą, owocami zbieranymi w lesie; później dopiero łowić zaczęli drobne zwierzęta, by ich surowem mięsem się żywić.

Ludzie ci zginęliby wnet marnie, gdyby nie rozum dany człowiekowi od Boga. Bo oto dzięki rozumowi swemu zdobyli pierwsze narzędzie, pierwszą broń — kamień. Kamień był ich bronią, którą zabijali mniejsze zwierzęta, a przekonawszy się, że tą bronią zabić można, odważyli się uderzyć i na większe zwierzę. W ten sposób pozyskiwali pożywienie i odzież, bo pierwszą odzieżą tych ludzi były futra.

Ale wciąż myśleli nad polepszeniem swego losu i wtedy wymyślili kamienne siekiery, jakich sporo i dziś jeszcze wyoruje i wykopuje się z głębi ziemi, jako pozostałości po pierwotnych mieszkańcach naszej krainy. Wkrótce jednak człowiek wynalazł mądrzejsze jeszcze sposoby ulżenia i umożliwienia sobie życia. Wynalazł łuk i strzały, by niemi zabijać swierzęta, wynalazł ogień, uderzając krzemieniem o krzemień i krzesząc w ten sposób iskry, któremi zapalał suche liście i gałęzie, albo trąc kawał drewna o drewno i w ten sposób zapalając ognisko.

Ale drewnianą strzałą ubić mógł ledwie drobne ptaki i ssące zwierzęta. Znów więc szukał innych sposobów, używał ości dużych ryb za groty do strzał i małych ości za igły. Wreszcie nauczył się używać miedzi do robienia grotów, a miedź znajdywał gotową w bryłach. Po długich, bardzo długich latach, gdy już nauczył się i ognia używać nietylko do odstraszania niedźwiedzi i wilków, ale i do gotowania potraw, człowiek zaczął wytapiać żelazo z rudy zbieranej na wodach rzek.

Odtąd człowiek żyć zaczął lepiej. Z żelaza robił siekiery, noże, groty do strzał, oszczepów i t. d. Odtąd łatwiej mu było powalić sosnę, którą dotąd ścinał kamienną siekierą. Łatwiej mu było zbudować chatę, ociosać pień na ławę i stół, zabić oszczepem dużego zwierza, obronić się przed nim i zdobyć ciepłe futro na zimę. Teraz człowiek sam dążyć zaczął na polanki wśród lasów. Tam kopał sobie doły, pokryte gałęziami lub kłodami, i mieszkał w nich, tam budował sobie chaty bez kominów, z jednej izby złożone, gdzie ogień palił się na środku, a choć dym gryzł w oczy, lepiej tu było i cieplej niż w jaskini, albo na wodzie. Koło ogniska stały koszyki oblepione gliną; służyły one za garnki, bo ludzie pierwej nauczyli się pleść z gałęzi czy sitowia koszyki, nim nauczyli się wypalać dzbany, garnki i misy. Na ścianach chaty wisiały łuki, sieci do łowienia ryb i torby z łoziny.

Każdy osadnik sam stawiał sobie chatę, sam strugał łuki i strzały, sam plótł torby i koszyki, polował na zwierzynę, robił sobie ze skór ubranie. Później jednak dzielić się zaczęli pracą, silniejsi trudnili się myślistwem, budową chat, rybołóstwem, słabsi pletli kosze, lepili garnki, szyli obuwie i ubranie, kłótnie były rzadkie bardzo. Lasy, wody należały do wszystkich, były wspólną własnością całej gromady. Ale broń, narzędzia, ubrania, były własnością każdej jednostki, bo ona je sama zrobiła, sama je posiadła.

Prawo Boże zawsze rządziło i rządzi światem. Wedle tego prawa człowiek rodzi się i umiera, wiosna przychodzi po zimie, ziemia krąży wokoło słońca. Prawem potem jest także, iż nic na świecie nie ginie; oddech nasz nie ginie, tylko jako para osiada na szybie okna; — dym nie przepada, chociaż niby to znika w powietrzu. A tak samo nie przepada żaden czyn człowieka. Cokolwiek robi człowiek, jest zawsze dobre albo złe, użyteczne albo szkodliwe, sprawiedliwe albo niesprawiedliwe. Prawo Boże — a zatem i ludzkie — nakazuje czynić dobrze, a zabrania czynić źle. Gdyby ludzie stosowali się zawsze do woli Bożej, to jest postępowali dobrze i sprawiedliwie, to na świecie byłoby im bardzo szczęśliwie. Że jednak są na świecie ludzie, którzy czynią źle, więc szczęścia tego niema. Ale tych ludzi złych, czyniących tem krzywdę drugim, należy wstrzy-

mywać od złego, a nawet za złe uczynki karać. Z tej konieczności karania powstały pierwsze prawa i powstali pierwsi prawodawcy, a jednem z tych pierwszych praw było prawo własności, grożące karą temu, któryby cudzą rzecz ukradł albo w inny sposób sobie przywłaszczył.

Ludzie zamieszkujący ziemię rozwijali się coraz bardziej i coraz to nowe czynili zdobycze. Patrząc jak ryba płynąc porusza wodę skrzelami, a steruje ogonem, z wydrążonego pnia zbudowali łódź i zaopatrzyli ją w ster i wiosła. Patrząc, jak pająk snuje swą siatkę, postanowili go naśladować i tak długo próbowali to czynić, aż nauczyli się prząść nitkę z roślin i z wełny, a tę nitkę przerabiać na płótno i samodział.

Żyjąc tak blizko różnych zwierząt leśnych, nauczyli się je oswajać i używać do posług dla siebie. Oswoili psa i pozyskali w nim stróża wiernego i obrońcę, pomocnika w łowach na inne zwierzęta. Widzieli, że z pestek wiśni wyrastają drzewa wiśniowe, z ziarn prosa czy jęczmienia kłosy pełne zboża; zaczęli więc kłaść pestki i ziarna w ziemię i zbierać plony, z tych ziarn i pestek wyrosłe. Deszcz nauczył ludzi, iż w suszę trzeba podlewać rośliny, mróz i śnieg, że trzeba je przed zimnem ochraniać.

Przyroda była w tem wszystkiem pierwszą nauczycielką człowieka, a doświadczenie drugą. Uprawiali pole rękami, później rogiem bydlęcym, osadzonym na kiju, a wreszcie drewnianą sochą, a do sochy tej zaprzęgał się każdy sam, zaprzęgali się mąż i żona. Aż wreszcie, gdy człowiek oswoił krowę i wołu, wypasać je zaczął na polankach lesistych i zdobył nowy pokarm — mleko, wtedy pomyślał dopiero o zaprzęganiu do pługa krowy i wołu.

Później jeszcze oswoił i konia. Mądry bardzo i dzielny musiał być ten, kto pierwszy dosiadł wierzchowca, kto pierwszy zaprzągł go do pługa i zaorał nim pole. Z koniem, krową, wołem, ludzie ci obchodzili się łagodnie i troskliwie, nie tak jak ich ojcowie, którzy tylko umieli zabijać zwierzęta, by pozyskać odzież i pożywienie. Praca rolna nie była zresztą ciężka, bo ziemia, co dopiero z pod lasu wykarczowana, była nadzwyczaj urodzajną. Las zresztą dostarczał sporo mięsa, jagód i miodu. Wnet ludzie zaczęli wyzyskiwać barci pszczół leśnych i nauczyli się, kiedy i jak je podbierać.

Coraz lepiej było ludziom na tej ziemi i ukochali tę matkę karmicielkę, ojczyzną swą. Bo jakże tej ojczyzny nie kochać? Jakże nie kochać jej za setny plon, jaki z swego łona wydaje, za zielone dąbrowy i bory, za żywe wody w rzekach i strumieniach, za ptactwo świergocące, za łąki kwieciste, za wesołe dni wiosny, znojne dni lata, tęskne dni jesieni, kiedy srebrne nici pajęczyn snują się po ścierniskach, a bociany klekocą na pożegnanie gniazdom, do których za rok powrócą.

Tyle wiemy o przedhistorycznych dziejach rodu ludzkiego.

Opis życia Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Młodzieńcze lata Pana Jezusa

(Ciąg dalszy).

Ofiarowanie Jezusa w kościele.

Przyniesienie Chrystusa do świątyni. W Starym Testamencie było nakazane Izraelitom, aby każda matka 40-go dnia po narodzeniu pierwszego syna zaniosła go do świątyni jerozolimskiej. Prawo to ustanowione było na pamiątkę ocalenia izraelskich dzieci od śmierci, kiedy w noc wyjścia Żydów z Egiptu Anioł pozabijał pierworodnych synów egipskich. Nowonarodzone, pierworodne dziecię ofiarowano Bogu, t. j. poświęcano na Jego służbę. Lecz równocześnie, jakby wykupywano tę ofiarę, zamieniając ją na baranka lub nawet gołębia. Dnia 40-go po narodzeniu Chrystusa, Najświętsza Marya Panna i Józef przynieśli Dziecię do świątyni jerozolimskiej i jako ubodzy, złożyli w ofierze parę gołąbków.

Proroctwo Symeona. W owym czasie mieszkał w Jerozolimie starzec imieniem Symeon, któremu Pan Bóg obiecał za jego świątobliwe życie, że nie umrze, dopóki nie ujrzy Zbawiciela świata. Bogobojny starzec z niecierpliwością oczekiwał spełnienia obietnicy i z natchnienia Bożego udał się do świątyni w tymsamym dniu właśnie, kiedy przyszli Marya i Józef. Ujrzawszy dziecię, Symeon odrazu poznał w niem Zbawiciela świata i serce jego napełniło się

radością. Wziął Chrystusa na ręce, dziękując Bogu, że mu pozwolił dożyć tej chwili i powiedział: »Teraz puść sługę Twego Panie w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował dla wszystkich narodów, jako światłość na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego izraelskiego«. Błogosławił też Symeon Maryi i Józefowi, i rzekł do Maryi: »Oto Ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A duszę Twą własną przeniknie miecz«.

Proroctwo Anny. Znajdowała się wówczas w świątyni także sędziwa wdowa imieniem Anna, posiadająca dar proroctwa; otóż i ona od razu poznała obiecanego Zbawiciela. Anna opowiadała wszystkim o przyjściu na świat Chrystusa i wiadomość ta wkrótce rozeszła się po całej Jerozolimie.

Pokłon trzech królów i ucieczka do Egiptu.

Podróż mędrców do Jerozolimy. Pan Bóg chciał, aby przyjście na świat Zbawiciela stało się wiadomem nie tylko Izraelitom, ale i mieszkańcom odleglejszych krajów; zesłał przeto niezwykłej wielkości gwiazdę, którą ujrzeli najpierw trzej uczeni, czyli, jak podanie mówi, trzej królowie Persyi. Mędrcy ci wiedzieli ze starożytnych przepowiedni, że w Judei ma się narodzić obiecany Odkupiciel świata, co gdy się stanie, ukaże się na niebie niezwykła gwiazda. Ujrzawszy więc takową od strony żydowskiej ziemi, byli pewni, iż przepowiednia już się spełniła, a że gwiazda była nadzwyczajnie wielka i jasna, przeto mędrcy orzekli, iż nowonarodzony musi być wielkim człowiekiem i zapragnęli go zobaczyć. Spostrzegłszy, że się gwiazda posuwa, poszli za nią aż do Jerozolimy, gdzie gwiazda znikła.

Spotkanie mędrców z Herodem. Gdy gwiazda znikła, mędrcy wypytywali się wszystkich, mówiąc: »Gdzie jest, który się narodził, Król żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę Jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu«. Gdy o tem dowiedział się Herod, zaniepokoił się o swój tron królewski; wezwał zatem do siebie kapłanów izraelskich i badał ich, gdzie się powinien narodzić Jezus Chrystus. Oni mu na to odrzekli, że w księgach świętych napisano, iż Chrystus powinien się narodzić w Be-

tleemie. Wtedy Herod zawezwał do siebie potajemnie przybyłych mędrców ze Wschodu, oznajmił im o tem, co mu powiedzieli kapłani, i wypytywał ich, kiedy im się ukazała gwiazda, aby módz według tego określić wiek Jezusa. Następnie prosił ich jeszcze, aby się pilnie wywiadywali o nowonarodzonem dziecięciu, mówiąc, iż sam pragnie pokłonić się Jemu, a w rzeczywistości rozmyślał, jakby je zgładzić.

Pokłon mędrców i zbrodnia Heroda. Mędrcy, wedle rady Heroda, skierowali się do Betleem i znowu ukazała się im gwiazda, która doprowadziła ich do groty, gdzie się znajdował Chrystus. Wszedłszy tam, mężowie ci oddali pokłon Jezusowi i ofiarowali Mu w darze złoto, kadzidło i mirę. Wracając, chcieli donieść Herodowi o swem odkryciu, ale ukazał im się we śnie Anioł i powiedział, by nie wstępując do Heroda, lecz inną drogą wracali do siebie. Herod tymczasem długo oczekiwał na powrót mędrców, a gdy się dowiedział, że już dawno opuścili jego królestwo, rozgniewał się bardzo i wydał rozkaz swoim żołnierzom, aby wymordowano w Betleem i jego okolicach wszystkie dzieci płci męskiej, nie mające jeszcze dwóch lat, myśląc, iż w tej liczbie Jezus Chrystus będzie zabity.

Ucieczka do Egiptu. Mordercy zabili kilka tysięcy niemowląt, ale Jezusa nie udało się Herodowi zgładzić ze świata, ponieważ jeszcze przed jego barbarzyńskim rozkazem ukazał się Józefowi Anioł z oznajmieniem, aby wraz z Maryą i dzieciątkiem uciekał do Egiptu, co też niezwłocznie uczynił. Herod za swe okrucieństwo został ukarany straszną śmiercią, a wtedy Anioł znowu ukazał się Józefowi i powiedział, że mogą już powracać do ziemi żydowskiej. Józef więc i Marya z synem wrócili do swego ojczystego miasta Nazaret, gdzie w dalszym ciągu mieszkali.

Dwunastoletni Jezus w kościele.

Zgubienie Chrystusa. Prawo Mojżesza nakazywało żydom, w ważniejsze uroczystości przychodzić do jerozolimskiego kościoła, dla oddania czci Bogu. Od tego obowiązku wolni byli tylko starcy, chorzy i dzieci do 12-go roku życia. Marya i Józef, będąc bardzo bogobojni, zachowywali wiernie ten przepis i co rok chodzili na Wielkanoc do Jerozolimy, a gdy Pan Jezus skończył rok 12-ty, wzięli

Go także z sobą. Pomimo, że podróż była długa i męcząca, Jezus szedł z wielką radością do Jerozolimy. Po skończonych uroczystościach Józef i Marya wracali do domu. Na razie nie zauważyli, że Jezusa z nimi nie było, sądzili bowiem, iż się znajduje w licznym orszaku krewnych i znajomych, idących razem z nimi. Lecz jakież było ich przerażenie, gdy się przekonali, iż Go niema.

Znalezienie Chrystusa. W wielkim niepokoju Józef i Marya powrócili do Jerozolimy i poczęli szukać Jezusa w mieście; lecz znaleźli Go dopiero na trzeci dzień w kościele, pomiędzy kapłanami i nauczycielami, których On słuchał, zapytywał, odpowiadał na ich pytania i tłómaczył Pismo święte. Wszyscy otaczający zdumieni byli Jego mądremi odpowiedziami. Najświętsza Panna, zbliżywszy się do syna, powiedziała mu ze smutkiem: »Synu, pocóżeś nam tak uczynił? Oto ojciec Twój i ja żałośni szukaliśmy Cię«. Jezus odpowiedział im mile i serdecznie: »Czemużeście Mię szukali? Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca Mego, potrzeba żebym żył«.

Potem święta Rodzina powróciła do Nazaretu, gdzie Jezus zostawał do 30-go roku swego życia. Cały ten przeciąg czasu Jezus był we wszystkiem posłuszny Józefowi i Maryi, aby służyć jako wzór posłuszeństwa względem rodziców i starszych.

Starosta Wilczek.

Powieść z czasów *Zygmunta III.*, przez *B.*

(Ciąg dalszy).

IX.

Po roku zakończyła się wyprawa na Szwedów. Wieść przyszła do Sokołowa, że Podwojewodzic zdrów i wkrótce tam zawita. Kilka krewnych tego pana, które niby to pod pozorem rozrywania nudnych chwil Starościnie, w rzeczy samej zaś tylko dla ułowienia jej serca dla niego, rzadko nawet na dzień opuszczały sokołowski zamek, najpierwsze z tą wiadomością do niej przybiegły. Sędziwa pani Cześnikowa, ciotka podwojewodzica, po długim, dobrze wymyślo-

nym wstępie tak dalej mówiła z przybraną słodyczą i rzadką spokojnością:

— Kochana Zosinko! jużby też czas pewnie było zdecydować się. Majątek twój, porzucony chciwym tylko zysku zarządcom, niszczeje, dzieci bez opieki, a pamiętasz, co ci względem nich zalecał ś. p. pan Tomasz, Panie świeć nad jego duszą? Ty sama bez podpory w najlepszych latach. Chceszże tak gnuśnieć w samotności, rozstać się z światem, który ci się tak mile uśmiecha? Namyśl się Zosinku! Stefan (tak było imię Podwojewodzicowi) wkrótce, jak wiesz, tu przybędzie. Będzieszże odrzucać tak godnego młodzieńca, w którym uroda, imię, majątek, sława, szlachetne serce, wszystko tak pięknie połączone jaśnieje? A jak on do ciebie przywiązany, czy jeszcze mało masz dowodów?

Na to wszystko Starościna odpowiadała milczeniem, ale widać po spokojnej jej twarzy, że rady nie krom serca idą.

— Jakbyś w mojej duszy czytała, jaśnie wiel. cześnikowa — ozwała się żywo pani Wojska, także daleka krewna Podwojewodzica — otóż to samo chciałam ci powiedzieć, moja Zosinko. Dodam tylko do tych arcysłusznych rad jeszcze, że onegdaj mówiłam o tobie i twych zamysłach z jegomość księdzem oficyałem; zupełnie się zgodził ze mną, że nie masz czego czekać Zosinko! tylko iść za pana Stefana. Powody do tego masz tak wielkie. A cóż ci stoi na przeszkodzie? Przecież nie, aby przez Boga! pomruki starego Margrabiego, któremu dla podeszłego wieku już się i w głowie dobrze przewracać zaczyna. I gniew człowieka bierze. W całem państwie już wszyscy obżałowali śmierć ś. p. Jegomość Starosty, a on... Ale któżby tam zważał na starego... Najsłodszy Jezu!

Chociaż dusza Starościny zupełnie już się była zgodziła na to, co jej doświadczeńsze doradzały przyjaciółki, jednak długo jeszcze trwało, nim rzekła stanowczo; więc niech i tak będzie!

X.

W Sokołowie dziś nadzwyczajna uroczystość. Zbliżył się dzień zaślubin Starościny-Podwojewodzicowej. Na gody weselne zjeżdża się mnóstwo gości. Ogniste rumaki zata-

czają bogate kolasy, kolebki przed zamek. Z nich wyskakują w złocistych żupanach, kontuszach, ferezyach i litych pasach krzepkie młodzieńce, i poważni wolno po wyniosłych stopniach skaczą starce. A za nimi świetnie przybrane panny, sędziwe matrony, podwojewodzianki, starościne, wojskie i t. d. Po zamku szasta i zawija się służba, zastawia licznemi srebry i złotem pana Starosty długie stoły. Młoda Panna w śnieżnej szacie, z rozmarynem i myrtem na skroni, świeci jak lilia wśród bluszczów jesiennych w gronie otaczających ją w osobnej komnacie swatek i druchen. Pan młody także cudnie przybrany w bogaty kontusz i żupan, z karabelą przy boku wysadzaną rubinami, z twarzą rumianą weselem, wita przybywających panów, cieszy się jak dziecię, które nie wie, co troska życia.

Zbliżyła się godzina czwarta z południa, i wszystko udało się do kaplicy, gdzie kapłan związał ręce nowożeńców.

Po ślubie huczne w zamku gody, hulanka i tany. Wiwaty z grzmotem haubic na wałach grodowych huczą pod niebo zdrowie młodego państwa. Podwojewodzicowa, dotąd jakiemiś smętnemi dręczona przeczuciami, porwana nawałnicą powszechnej radości, zapomniała o smutkach, bawi się wesoło, miluchno pogląda na nowego męża, może marzy o szczęściu straconem? Nagle, w pośrodku najhuczniejszej zabawy rozległ się jęk przeraźliwy w bocznych komnatach, wybiegają wszyscy i zastają Drozdowskiego bez duszy. Stary sługa, nie mogąc znieść hańby swojej pani, jak się do ostatniej wyrażał chwili, umarł z ciężkiego żalu, apopleksyą tknięty.

Śmierć jego najokropniej dotknęła Podwojewodzicową. Zbladła, zemdlała; po dotrzeźwieniu zapadła w ciężką niemoc.

XI.

Zakończyły się gody, goście rozjechali do domów. W zamku znowu cicho, tylko smutniej. Bo pani, chociaż za staraniem biegłych lekarzy odzyskała zdrowie, straciła po ostatnim wypadku całą swoją wesołość i żywość. Niegdyś róża, płonąca w całym blasku swego przepychu, dziś schnący kwiatek na mogile wędrowca! Widać po wynędzniałej i wyblakłej twarzy ślady jakichś okropnych zgryzot duszy. Napróżno tysiące zabaw wymyśla dla niej przy-

wiązany małżonek, napróżno najweselsze umysły licznych przybyszów starają się przerywać okropne jej marzenia. Dziś to wszystko martwem, nawet nieznośnem dla ciężko zranionej duszy niewiasty. Jedne pieszczoty z dziećmi, z któremi całe dnie przepędza, zdają się jeszcze uciszać jej tajne cierpienia. Ale noc, to niezmierzone pole rozpamiętywań, to wszystko wraca w trójnasób. Budzi się z snów nieszczęsna, gorzko płacze i wzdycha.

Podwojewodzic, do żywego tknięty tą niedolą żony, serce by swoje dla niej wydarł z piersi, by ją tylko, choćby na chwilę, uspokoić. Nadaremnie wszystko! ona go kocha, jak tylko może kochać serce przywiązanej, poczciwej kobiety, bo on swą łagodnością tak jej przypomina Tomasza; ale w jego sercu niema już dla niej balsamu pociechy.

Nikt nie wie, Podwojewodzicowa miała po zgonie Drozdowskiego sen okropny, w którym ukazał jej się nieboszczyk i groźną prawicą wyrzucał złamanie wiary Staroście. Czegoż więcej potrzeba do pognębienia zupełnego duszy tylu cierpieniami strzaskanej! Ale poczciwa, przywiązana żona ukrywa powód tajnej, trawiącej ją zgryzoty przed mężem...

Tak w smutkach płynie dzień za dniem, tydzień za tygodniem, nadeszła wreszcie dziesiąta wiosna od pobicia Turków.

(Dokończenie nastąpi).

W podziemiu.

»Bądź dzisiaj ostrożnym przy robocie, bo mam przeczucie, że stanie się jakieś nieszczęście« — przestrzegała żona męża swojego, górnika, Zarembę, gdy ten szedł pewnego poranku na robotę do kopalni węgla. »Nie bój się, kochana« — odpowiedział mąż — »los mój spoczywa w ręku Boga, on mnie ochroni od złego«.

Praca w kopalni odbywała się spokojnie aż do południa. Wtem zauważył jeden z górników, że nagromadza się woda na jednem miejscu, gdzie jej nigdy przedtem nie widziano. »O! to źle« — rzekł Zaremba i rozkazał jednemu z robotników, aby zawiadomił o tem sztygara.

Robotnik pobiegł co tchu — lecz już nie powrócił więcej. Zaremba wraz z czterema innymi górnikami poczęli

biedz naprzód, ażeby uniknąć niebezpieczeństwa. Woda sięgała już ich piersi a do szybu było jeszcze co najmniej 300 metrów.

»Jesteśmy zgubieni!« — zawołał jeden z górników — »niemożliwem jest wyjście z tego niebezpieczeństwa«. Cofnęli się więc spiesznie do tego miejsca, z którego przed chwilą wyszli. Tam nie dotarła jeszcze woda.

Wzięli teraz dwa małe wózki, ustawili je jeden na drugim, położyli na wierzch wielkie bryły węgla i usiedli na tak sporządzonych siedzeniach.

»Oby też Pan Bóg zlitował się nad moją kochaną żoną i dziećmi, a my chciejmy umrzeć z poddaniem się Jego świętej woli« — mówił Zaremba, wyciągnął swój różaniec i modlił się; za jego zaś przykładem poszli inni górnicy.

Godziny mijały, a tu powietrze psuło się coraz więcej, tak że biedni górnicy odchodzili od zmysłów. Tam zaś na górze pracowano w tym czasie gorączkowo nad tem, ażeby z kopalni wypompować wodę, która jakimś podziemnym kanałem wtargnęła ze stawu.

Skoro tylko spostrzeżono, że woda ubywa ze stawu i że zalewa kopalnię, natychmiast otwarto śluzy i spuszczono wodę ze stawu.

Rodziny górników z bijącem sercem czekały na wyratowanie swoich ojców i mężów. Żona zaś Zaremby dniem i nocą klęczała z swojemi dziećmi i błagała o zlitowanie. I oto trzej górnicy znaleźli śmierć w wodzie — Zarembę zaś wyratowano. Jego bowiem życie było w rękach Bożych, więc Bóg ulitował się nad nim.

Los zdrajcy.

(Legenda).

W obrębie wioski Radziki Wielkie, w gub. płockiej, istnieją ruiny starego zamczyska. Do zwalisk tych przywiązana jest legenda ludowa, która krąży zarówno pod strzechami włościan jak i wśród mieszkańców dworków szlacheckich.

Założyciel zamku, Bogusław Poraj, miał dwóch synów: Bolesława i Konrada. Bolesław miał bardzo dobre i szlachetne serce, ale w Konradzie złość i zawziętość była panującą wadą. Postanowiono więc rozłączyć ich, gdyż nie zgadzali się z sobą, Bolesława pozostawiono w domu, a Konrada posłano do wuja, który wysłał go do Malborga — stolicy mistrzów krzyżackich, by tam kształcił się w szkole miejscowej. Dowiedział się mistrz krzyżacki, że syn Poraja, budującego zamek, kształci się w jego stolicy, a wiedząc i o złych skłonnościach Konrada, polecił nauczycielom szkoły pracować nad nim w tym kierunku, aby młodzieniec w przyszłości mógł być zręcznem narzędziem do zdobycia ziemi Dobrzyńskiej.

Konrad przylgnął do Krzyżaków i gotów był nawet wstąpić do ich zakonu. Ale wielki mistrz zakonu inną miał rachubę i potrzebował ślepego stronnika na pograniczu. Przewidywał on, że zaszczepione wyobrażenia, rozbudzona duma, pogarda dla swoich, obojętność i niechęć do brata, dojrzeją same, a zbieg wypadków dokona reszty.

Stary Poraj, czując, że siły coraz więcej go opuszczają, wezwał do siebie Konrada i w obecności braci i sąsiadów podyktował miejscowemu proboszczowi rozdział majątku pomiędzy braci, podług którego Bolesław odziedziczył Radziki z zamkiem obronnym, a Konrad Nową Wieś.

Czyż potrzeba opisywać, jak złość ukryta szarpała sercem Konrada, który zawsze marzył o zamku? Rzekł przeto do sąsiadów i brata:

— Bliźniętami jesteśmy, powinniśmy zatem równe mieć prawo do mienia ojcowskiego; tymczasem ty liczyć się będziesz do możnowładców naszych, ja zaś mam być jednocześnie drobnym szlachcicem na wydzielonej cząstce?

Bolesław zasmucony tem rozgoryczeniem brata chciał ustąpić mu Radziki, ale sąsiedzi nie pozwolili, ponieważ ostatnią wolę ojca uszanować należało.

— Tak być nie może i nie będzie, — odrzekł sąsiadom Konrad — spoglądacie na mnie, jak na Niemca, a więc kiedy nie chcecie, ażebym był z wami na równi, to będę panem nie tylko zamku, ale i wszystkich włości waszych. Przyrzekł mi wielki mistrz Krzyżaków, iż zawsze w nim

znajdę przyjaciela i obrońcę, a więc w obecnej sprawie odwołam się do niego i obietnicę tę przypomnę.

Tak też Konrad i zrobił.

Wielki mistrz Krzyżaków już dawno gotował się do wojny z Polską, obiecał więc Konradowi, że jeżeli przy jego pomocy zdobędzie zamek radzikowski, to zrobi Konrada kasztelanem powiatu rypińskiego i nada mu nowy herb i nazwisko.

W kilka tygodni później łuny, ciągnące się od strony ziemi kujawskiej, oznajmiły szlachcie dobrzyńskiej, że nieprzyjaciel od tamtej strony naszedł na Polskę. Ziemianie z pośpiechem odesłali żony i dzieci do warownego Płocka, a sami zamknęli się w zamkach: ciechocińskim i radzikowskim, do którego także przybył i Konrad, serdecznie przez brata przyjęty.

Okazywał się najczynniejszym pomiędzy wszystkimi i nie było zakątka, któregoby nie zwiedził.

Już od dwóch dni szturmowano do zamku, trzeciego dnia ujrzano ogień na przeciwległym brzegu Drwęcy, za lasami, które rozciągały się aż do rzeki. Płomień ten dał poznać Konradowi, że nazajutrz o wschodzie słońca będą przy podziemnem wyjściu.

O świcie przypuszczono szturm z największą siłą i wszystko, co żyło, pośpieszyło na mury, by odpierać wdzierających się Krzyżaków. W tej chwili Konrad, widząc, że nikt na niego nie zważa, wbiegł do podziemnego wyjścia i tędy wprowadził do zamku 50 Krzyżaków, a przybrawszy zbroję i szyszak jednego z nich, sam uderzył na swoich współbraci. Widział, jak zabijano jego brata, a jednak nie pośpieszył mu na ratunek.

Matka dowiedziawszy się o zdradzie Konrada, umarła z rozpaczy, przeklinając wyrodne dziecko. Z powodu tego przekleństwa wszyscy uciekali od zdrajcy, nawet dawni jego przyjaciele Krzyżacy. Wielki mistrz oświadczył mu, że w zabranej ziemi nie może go zrobić rządcą, gdyż lud, wiedząc o tem, że jest zdrajcą i przeklętym przez matkę, zanadtoby się oburzył, a jemu idzie o to, żeby łagodnością utrzymać to, co zdobędą siłą.

Konrad wreszcie chciał zostać przy boku mistrza i być jego sługą, lecz i tego mu odmówiono, każdy bowiem nie-

pomyślny wypadek przypisywanoby jego obecności, ponieważ każdy przeklęty wszędzie za sobą prowadzi nieszczęście. Wyrzekł się więc swoich i opuścili go Krzyżacy.

Tymczasem możny Władysław Łokietek zebrał rycerstwo i wyruszył rugować z kraju nieprzyjaciół; ciągnął prosto na Rypin do Brodnicy. Wiedział Konrad co go czeka według praw krajowych i postanowił schronić się przed ciosem sprawiedliwości do zamku radzikowskiego, w którym zamknęli się Krzyżacy.

— Precz z przeklętym! Nie wpuszczać go do zamku, bo on nam zgubę i nieszczęście przyniesie! — wołali Krzyżacy, ujrzawszy przed bramą Konrada.

Oniemiały z przerażenia Konrad chciał schronić się choć do lasu, lecz lud go pochwycił i wydał w ręce sprawiedliwości.

Przez pamięć na zasługi starego Poraja i na bohaterską śmierć brata, król nie chciał tak zacnego rodu splamić śmiercią haniebną jednego z potomków i ohydną karę szubienicy zamienił na karę miecza.

Wkrótce pomiędzy ludem powstała pogłoska, że Konrad błąka się po lasach swej dawnej dziedziny w postaci ognistego upiora, a uciętą głowę nosi pod pachą. Około północy wstaje on z miejsca, gdzie go ścięto i zakopano, i przychodzi do kościoła, wstępuje do spustoszałych ruin zamku, poczem wraca na miejsce kaźni i zapada się w ziemię.

Walki o grób Zbawiciela.

Żydzi nie mieli zwyczaju grzebać i chować do ziemi umarłych. Każdy z nich, stosownie do swoich funduszów, kazał wyciosać w jakim odłamie kamienia lub skale pewien rodzaj framugi, gdzie wkładano ciało i zawalano następnie otwór kamieniami.

Grób, w którym było złożone ciało Zbawiciela, wielką wkrótce otoczony został czcią i uszanowaniem. Aby go ustrzedz od świętokradzkich obelg i zniewag, zbudowali chrześcijanie na tem miejscu obszerną bardzo świątynię, która obejmowała w sobie grób święty, o pięćdziesiąt kro-

ków oddaloną górę Kalwaryi i różne miejsca, w których się Jezus Chrystus zatrzymywał, krzyż na sobie dźwigając. Pielgrzymi różnej narodowości i stanu tłumnie tam po wszystkie czasy spieszyli.

Gdy Ziemia święta dostała się w ręce niewiernych, Europa cała stanęła pod bronią, aby grób Chrystusa z ich mocy uwolnić. Zapał był powszechny i niezrównany. Pewien szlachcic fancuzki, Piotr Pustelnik, świeżo z Palestyny przybyły, gdzie się napatrzył na zniewagi, jakie grobowi świętemu wyrządzano i zelżywości, oraz różnorodne prześladowania, na jakie chrześcijanie byli wystawieni ze strony Turków, rozognił głowy opowiadaniem mąk i ofiar, jakich był świadkiem.

Przywdziawszy gruby habit, przepasawszy się powrozem, zaczął wędrować po różnych krajach, boso i z gołą głową, trzymając w ręku wizerunek Ukrzyżowanego, który łzami zlewał. Przemawiał wszędzie do zgromadzonego ludu, zaklinając monarchów i ludy, aby się uzbroili i śpieszyli wyzwalać Ziemię świętą. Głos jego przeniknął do serc, wyprawa święta została postanowioną. Papież Urban II. przyjeżdża do Francyi osobiście, chcąc pobudzić Francuzów do tego nowego a wzniosłego przedsięwzięcia. Ogłasza tę wyprawę jako środek do otrzymania odpuszczenia grzechów. »Żołnierze piekła, woła, stańcie się rycerzami Boga!« Z tysiącznych piersi dobywa się wówczas okrzyk: »Bóg tak chce! Bóg tak chce!« Czerwone krzyże przypinają do płaszczów tych, którzy się zaciągają pod sztandar Chrystusa. Stąd pochodzi nazwa krzyżowców i wojen krzyżowych.

Wodzem i głównym bohaterem pierwszej wojny krzyżowej był Godfryd z Bouillon, książę Lotaryngii, którego pobożność wyrównywała męstwu i odwadze. Pod kierunkiem tego walecznego rycerza, po wielu trudach i walkach różnego rodzaju, dostało się wreszcie wojsko krzyżowców do Ziemi świętej, a po zdobyciu kilku twierdz, dążąc zawsze do celu, mimo głodu, pragnienia i dziesiątkujących ich chorób, udało im się zatknąć błogosławiony sztandar Odkupiciela na murach Betleemu, aby zwiastować nieszczęśliwym chrześcijanom Jerozolimy, że godzina ich oswobodzenia wkrótce wybije.

Jak tylko ujrzeli krzyżowcy miasto święte, padli na kolana, a błagalnie wznosząc ku niebu ręce, wołali z głębi serca rozbolałego tęsknotą i uciskiem braci: »Jeruzalem! Jeruzalem!«

I bezzwłocznie szturm przypuścili. Odparci przez niewiernych, postanowili osaczyć miasto, które trzymali w oblężeniu przez dni dwadzieścia dziewięć. Gdy chwila nadchodziła stanowcza ostatniego wysilenia, całe wojsko zaczęło się do niej gotować przez post i modlitwę. Obeszli procesyjnie wkoło miasto, niosąc przed sobą godło Odkupiciela i obrazy Świętych i wrócili do obozu wskróś przejęci i oburzeni zniewagami, jakie mahometanie wyrządzali krzyżowi, który zatknęli dla pośmiewiska na murach miasta.

Dnia 15. lipca 1099, o trzeciej po południu, to jest o tej samej godzinie, o której Zbawiciel oddał Bogu ducha, dostali się krzyżowcy do wnętrza miasta i uwolnili je z pod przemocy niewiernych, po tyloletnich różnorodnych trọskach, cierpieniach i mozołach. Po wzięciu miasta, rozpoczęła się rzeź straszna. Gorliwość nieoświecona krzyżowców, widząc w każdym żydzie lub mahometaninie oprawcę Chrystusa, tłumaczyła im, iż czem więcej ich namordują, tem większą będą mieli zasługę przed Bogiem.

Tak pomściwszy Zbawiciela, jak przypuszczali, porzucili broń i pobiegli boso do grobu świętego, gorzkiemi oblewając łzami, jakoby zmyć z niego chcieli skazy, jakie nań mogło sprowadzać zetknięcie się z niewiernymi. Godfryd de Bouillon został obwołany królem Jerozolimy. Tytuł przyjął, ale odmówił koronacyi: »Boże uchowaj, rzekł, abym nosił koronę złotą tam, gdzie Król królów, Pan nasz Jezus Chrystus koronę nosił cierniową«.

Grób Jezusa Chrystusa został przez ośmdziesiąt ośm lat w rękach następców Godfryda de Bọuillon. Następnie miasto święte zostało napowrót ujarzmione przez muzułmanów i pomimo kilku wypraw krzyżowych nie zdołano im go wydrzeć. I taki rzeczy obrót wzięły, iż Turcy mają teraz klucze od kościoła grobu świętego i od nich kupują sobie chrześcijanie pozwolenie uczczenia tamże Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Ktoby chciał kilkakrotnie odwiedzić grób święty, musiałby za każdym razem prawo wejścia opłacać, a że kwota

wymagana bardzo jest znaczna, przeto ubodzy pielgrzymi, dostawszy się tam, miesiące całe tamże przepędzają; żywność podają im okienkiem w tym celu wybitem i w kraty żelazne opatrzonem.

OO. Franciszkanie obsługują grób święty i większą część miejsc świętych. Turcy pozwalają im obowiązki spełniać, chociaż czyhają zazwyczaj na jakąkolwiek sposobność, aby ich karami pieniężnemi obłożyć.

Czystość i porządek koło siebie.

Dokończenie.

Podczas lata można daleko częściej używać kąpieli w rzekach, stawach, rowach, strugach i t. d.

Bywa, że wieśniak lub mieszczanin chwali się z tego, że jak go babka wykąpała po urodzeniu, to więcej wody nie widział. Kiedy jeden z naszych znajomych chłopaków co dzień mył się mydłem i czesał, idąc do szkoły, to mu rodzice wymyślali, że się na szlachcica kieruje.

Częste mycie bardzo przyczynia się do utrzymania zdrowia i czerstwości ciała. Kobiety i mężczyźni wiejscy nie tyle się starzeją od pracy, ile z brudu i nieczystości ciała. Dlatego skóra na twarzy marszczy im się i obwisa daleko prędzej, niż u ludzi innych stanów, którzy się częściej myją i lepiej swą skórę pielęgnują.

Głowa, która także narażona jest na zabrudzenie tak często, jak twarz i ręce, zwłaszcza u kobiet, mytą być nie może, bo pociąga to za sobą dużo kłopotu z rozczesaniem i wysuszeniem włosów. Powinno się natomiast przynajmniej co dzień czesać włosy najpierw rzadkim, potem gęstym grzebieniem, aby zczesywać kurz i zapobiegać tym sposobem rozmnażaniu się owadów, które w brudzie obficie się lęgną. Niestety, są ludzie, którzy i o to nie dbają i niejako mają w tem plugastwie upodobanie. Za przyjemność nawet uważają wzajemne iskanie się. Często więc w niedzielę można widzieć, jak matka dzieciom lub dzieci starsze rodzicom odbywają poszukiwania w głowie. A jakież to wstrętne!

Z przebrzydłego zwyczaju nieczesania się tworzą się i owe częste u nas kołtuny.

Prawie to samo, co o kołtunie, da się powiedzieć i o ciemieniuchach u dzieci. Matki troskliwie pielęgnują owe obmierzłe skorupy, które na kształt czapki pokrywają główkę dziecięcia. Broń Boże, nie pozwalają tego zczesać z obawy, że się to dziecku sprzeciwi. A tymczasem ciemieniuchy nie są niczem innem, tylko brudem i kurzem, który z potem i tłuszczem, wydzielanym przez skórę, urabia się w rodzaj ciasta i tworzy te dachówkowate łuski; skóra na głowie, pokryta taką blachą, nie przepuszcza powietrza, choruje i włosy na niej jak należy wyrastać nie mogą. Gdzieniegdzie tylko wymknie się przez szparę parę włosków i unosi ciemieniuchy do góry, póki same nie poodpadają. A ileż tam robactwa pod tem się gnieździ! Biedna dziecina kręci się, nieraz spać nie może, skrobie się po głowie, a matka radzi się sąsiadek, co tego za przyczyna, że jej maleństwo główka musi boleć, bo takie niespokojne. Za poradą tedy kum i babek okłada dziecku główkę krajanemi kartoflami i chrzanowemi liśćmi na przemiany...

Aby zapobiedz powstawaniu ciemieniuchów, trzeba dziecku od samego urodzenia w każdej kąpieli główkę gałgankiem pomydlonym dobrze zmywać, uważając, aby się mydło w oczka nie dostało. Jeżeli będziemy utrzymywali czysto główkę dziecka, żadnych ciemieniuch ono nie dostanie. W miarę tego, jak dziecku włoski podrastają, trzeba je po umyciu leciuchno gęstym grzebieniem rozczesywać, dlatego zaś leciuchno, że dziecko do roku ma ciemię otwarte, to jest, że kości głowy na ciemieniu nie są jeszcze zrośnięte i stwardniałe.

Chcąc się pozbyć ciemieniuch u dzieci, trzeba przed kąpielą na jakie dwie, trzy godziny posmarować główkę niesolonem masłem, potem zmyć ją mydłem w wodzie a później dopiero powoli zczesywać.

Tworzeniu się brudu na głowie u dzieci starszych i u dorosłych sprzyja bardzo pomada i wszelkie tłuszcze, jakiemi ludzie zwykli smarować włosy; bo z suchego włosa kurz łatwiej spadnie, ale do tłustego przylgnie doskonale. Przytem wiedzieć należy, że smarowanie tłuszczem nie przy-

czynia się wcale do porostu włosów, przeciwnie tamuje go, bo zasklepia pory w skórze.

Do utrzymania czystości ciała dopomaga bardzo częsta zmiana bielizny i powleczenia na pościeli. Tego sobie przecież gospodynie odmawiać nie powinny, bo pranie na wsi niewiele kosztuje. Odpierze się w domu, wychlapie u wody i czyste, te trochę roboty, co jest koło tego, sowicie się opłaci na zdrowiu. Osobliwie dbać należy o czystość pościeli i bielizny dla małych dzieci, bo ciało i skóra dzieci jest bardzo delikatna i skłonna do nasiąkania różnymi szkodliwymi gazami, które się z nieczystości wywiązują. Wszelkie, bardzo bolesne wyprzenia u dzieci, pochodzą z tego, że mokro leżeć muszą całemi godzinami.

Kochane matki nie żałujcie zatem dziecku czystej koszuli i pieluchy, świeżego siana do kolebki, a będziecie miały dziecko zdrowe, które spokojnie po nocach sypiać będzie, przez co też zyskacie niejedną godzinę snu dla siebie.

ODWAŻNY ŻOŁNIERZ.

Po długiej służbie wojskowej wrócił do domu rodzicielskiego wysłużony podoficer, by objąć po śmierci ojca ojczyste zagony. Naturalnie, jak to najczęściej bywa przy wojsku, zapomniał on w czasie swej służby o świętych Sakramentach. Ale na prośbę matki staruszki poszedł do spowiedzi. Już zbliżył się do konfesyonału, już miał przyklęknąć, by duszę swoją z grzechów oczyścić, ale jakiś fałszywy wstyd nie pozwolił mu na to i wyszedł z kościoła. Ale tu pomyślał sobie: Szedłem nieraz na kule nieprzyjacielskie, zaglądałem śmierci w oczy i nie bałem się, a teraz boję się jednego bezbronnego księdza? — to wstyd przecie. Wrócił się do kościoła i odważnie wyspowiadał się ze wszystkich grzechów.

Papież Urban IV. i jego ojciec.

We francuskiem mieście Troa żył około 1200 roku szewc, imieniem Pontaleon. Cenił on bardzo wysoko swoje rzemiosło, dlatego też w swych marzeniach rodzicielskich nie znajdował nic świetniejszego dla swego syna Jakóbka, zwanego także z drugiego imienia Pantaleonem, jak ujrzeć go kiedyś zdolnym majstrem rzeczonego kunsztu. Nie badając więc synowskich skłonności i usposobień, starał się wzbudzić w nim zamiłowanie do szewstwa, a jeżeli nie wystarczały słowa, używał do pomocy pocięgla.

Jakóbek, jako dobry i posłuszny syn, znosił pokornie postępowanie ojca i spełniał rozkazy, jak mógł najlepiej, chociaż nie czuł do szestwa żadnego powołania. Mimo to kręcił dratwy, smarował je smołą i klepał na kamieniu młotkiem podeszwy, a starał się robić to wszystko dobrze i żwawo, — dobrze dlatego. że był sumiennym, a żwawo, aby po skończeniu wyznaczonej roboty mieć kilka wolnych chwil dla siebie.

Może jesteście ciekawi, jak nasz Jakóbek chwil tych używał. Otóż, jak tylko skończył robotę, tak zaraz wydobywał ukrytą pod obrzynkami skór pergaminową książeczkę, darowaną mu przez zakonników sąsiedniego klasztoru; siadł przy warsztacie i własne swoje wykonywał rzemiosło, to jest — uczył się czytać; a ile razy napotkał trudność, jakiej własnym rozumem pokonać nie zdołał, wymykał się z izby i biegł do klasztoru, gdzie mu znajomi zakonnicy chętnie udzielali żądanych objaśnień.

Z przykrością widział majster Pantaleon te wycieczki syna do klasztoru, dlatego nieraz go surowo upomniał i karał. Jakóbek przyjmował z pokorą upomnienia ojcowskie, ale chęć do nauki tak w nim silnie rozgorzała, że wołał się narażać na połajanie lub karę, aniżeli odmówić sobie rozkoszy, jaką znajdował w nauce.

Zakonnicy, oceniając zdolności chłopca i jego chęć do nauki, starali się nakłonić ojca, aby im powierzył syna jedynaka na wychowanie; ale Pantaleon nie chciał na to pozwolić. Widząc jednakże, iż syn coraz mniej czuje pociągu do szewstwa, tak rzekł do siebie: Nie udał mi się chłopiec, i sam Bóg widzi, że nie moja w tem wina. Nie

będę miał tej pociechy, aby był dzielnym szewcem. Niechże idzie do klasztoru, jeżeli nie może być już inaczej.

Powziąwszy to postanowienie, poszedł z Jakóbkiem do klasztoru, a oddając go pod opiekę przełożonemu, zalecił synowi surowo, aby był posłuszny i aby chętnie służył zakonnikom, poczem pocałował go w głowę i pożegnał ze łzą w oku.

Zakonnicy, którzy w młodzieniaszku spostrzegli niezwykłą pojętność, oraz chęć do nauki i wiele innych pięknych przymiotów, jakie uszły baczności ojca, ucieszyli się niezmiernie z nabycia chłopca rokującego na przyszłość najpiękniejsze nadzieje. To też nie użyli go do ręcznych posług, ale umieścili zaraz w seminaryum, w którem się przysposabiali i młodzieńcy na księży.

Jakób Pantaleon nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, gdyż żył bardzo cnotliwie i pilnie się uczył.

W 24-tym roku życia został wyświęcony na kapłana, a niedługo mianowano go przełożonym klasztoru. Jego wielka nauka, a większa jeszcze pobożność zwróciły nań uwagę Papieża. Mianowany Kardynałem i legatem (to jest posłem) papieskim, został ksiądz Jakób Pantaleon wysłany do Wrocławia, gdzie roku 1248 przewodniczył zebraniu polskich Biskupów.

Po zgonie Aleksandra IV. został Jakób, syn szewca, wyniesiony na najwyższą godność w chrześcijaństwie, gdyż wybrano go Papieżem.

Pod imieniem Urbana IV. rządził chlubnie Kościołem katolickim od r. 1261—1264. Jaśniał wielkiemi cnotami, szczególnie zaś odznaczał się niezwykłą czcią i miłością dla ojca.

Szewc Pantaleon, dowiedziawszy się, że jego syn został wybrany Papieżem, uszył dla niego piękne obuwie i udał się w podróż do Rzymu. Urban IV., gdy mu dano znać o przybyciu ojca, wyszedł na jego spotkanie, a klęknąwszy przed starcem, ucałował jego nogi.

Trwalszy on jeszcze pozostawił pomnik swego synowskiego przywiązania, który dotrwał do naszych czasów. Wystawił on w rodzinnem mieście w tem samem miejscu, gdzie stał niegdyś domek ojcowski, piękny kościół, który

dotąd się wznosi. Na pamiątkę zaś swego pochodzenia kazał wymalować obraz swego ojca, szyjącego buty i umieścić go w kościele.

Największy ogród owocowy na świecie.

Tuż nad zatoką morską San Francisko, w Kalifornii, podziwiać można dwie urocze doliny: Santa Klara i Santa Kruc, oddzielone od siebie pasmem wzgórz. Doliny te — to jeden olbrzymi ogród owocowy, obejmujący 9125 mil kwadratowych, a który mieści w sobie 10 tysięcy budynków mieszkalnych i sześć milionów drzew owocowych; tysiąc górskich strumyków zasila wodą ten jedyny w świecie ogród.

Połowa wszystkich śliwek, które znajdują się na targach w północnej Ameryce, pochodzi z owego olbrzymiego ogrodu, a żadna na świecie kraina nie daje tak obfitych zbiorów wiszni i czereśni. Na targach owocowych wszystkich cywilizowanych krajów świata spotkać można owoce z doliny Santa Klara, roczny zaś obrót ze zbiorów owocowych wynosi więcej niż 12 milionów dolarów (czyli 60 milionów koron).

Tamtejsi farmerzy i hodowcy owoców suszą rok rocznie sto czterdzieści milionów funtów owoców. W odległościach jednomilowych wznoszą się wielkie zbiorniki wody— a nieprzerwany szereg beczkowozów, ciągnący się astawicznie tam i z powrotem, zlewa wodą gościńce i chroni pola od kurzu. Jest to koniecznem w czasie zbiorów, kiedy pola z obu stron gościńców zasłane są owocami, które się suszą na słońcu.

Po zebraniu śliwek — myje się je ostrożnie ciepłą wodą i sortuje, to jest odrzuca się owoc zepsuty lub niedojrzały. Owoc zaś zdrowy zanurza się w słabym rozczynie ługu, przez co miejscsmi pęka skórka tak, że gorąc może dotrzeć do samej pestki. Następnie umieszcza się je na trawie lub na ścierniskach pól pszenicznych i przewraca się trzy razy dziennie, ażeby wyschły ze wszystkich stron. Gdy owoc jest zupełnie suchy, wtedy zwozi się go do magazynów, a stąd rozsyła w świat na sprzedaż.

Z GOSPODARSTWA.

Chów indyczek.

Najlepiej nasadzić w maju lub kwietniu na 18 lub 20 jajach. Indyczka potrzebuje zupełnego spokoju i koniecznie codziennie ostrożnego zdejmowania z gniazda dla pożywienia się, na które używa się owsa lub innego ziarna i wody do picia. Po czterech tygodniach, jak się zaczną lądz małe, ostrożnie odbiera się skorupki z wylężonych indycząt i wyrzuca się dla uniknięcia uduszenia piskląt.

Gdy się wszystkie wylęgną, a jest ładna pogoda, zaraz z indyczką wysadza się je na dwór, chociaż nie będą jeszcze mogły chodzić, tylko się czołgać, lecz słońce je wzmocni. Teraz bardzo ważne co do pokarmu. Chwastu lub liści używanych na pokarm, nie sieka się, tylko kraje drobno, i jaki pokarm od początku dostawały, to muszą aż do końca, to jest do dostania korali dostawać. Nie może być żadnej mieszaniny, gdyż zmiana pokarmu wywołuje choroby i indyczęta często muszą zdychać.

Chwast może być srebrnik, podbiał, koniczyna, pokrzywy, bobkowe liście, krwawnik, liście leszczyny. Wogóle tego się używa, czego jest najwięcej, aby od początku aż do końca jedno i to samo wystarczyło. Do tego dodaje się grubą jęczmienną kaszę, lecz nie gotuje się takowej, bo łatwo można przyswędzić w gotowaniu, a to indyczętom szkodzi, lecz zaparza się tylko gorącą wodą, i tak stoi na kuchni gorącej z godzinę. Później, jak wystygnie, miesza się na cały dzień z chwastem i dodaje jajko na twardo gotowane, posiekane drobno z łupinkami i trochę twarogu świeżego. Po tygodniu można już jajek nie dawać. Dla karmienia bierze się trochę tej mieszaniny, dodaje cokolwiek kwaśnego mleka, miesza się i zadaje na czystej deseczce (nigdy na ziemi) dosyć często przez dzień, a o godz. 5—6 wieczorem idą już spać.

Jeżeliby zostało co z przyrządzonego jedzenia, nie można tego dawać nazajutrz, karma musi być zupełnie świeża i chwast codziennie świeżo rwany. Słoma z gniazda powinna codziennie być wyrzucana, albo na słońcu wyczyszczona; w kurniku też, gdzie się chowają, musi być

czysto, codziennie wymiecione, piaskiem wysypane, aby nie było żadnego zaduchu.

Rano codziennie przy wypuszczaniu, jak niema deszczu, przed pierwszem zadaniem, powinno być każde indycze zrewidowane, czy w tak zwanym wolu (gardziołku) nie pozostało co niestrawionego; gdyby się znalazło stwardnienie okrągłe, daje się cokolwiek świeżego niesolonego masła i wypuszcza się z innemi, ale lepiej przytrzymać z godzinę, a później dopiero wypuścić. Napoju nie daje się żadnego, pod żadnym warunkiem; ani wody, ani mleka, zgoła nic.

Różne rady pożyteczne.

Sól kuchenna, jako płukanie ust. Dla ochrony zębów, wzmocnienia dziąseł i zniszczenia nieprzyjemnego zapachu i smaku w ustach zrana radzimy prosty a dobry środek — płukanie ust przed spoczynkiem rozczynem wodnym soli kuchennej, w stosunku jednej łyżki stołowej na szklankę wody.

Jeżeli taki rozczyn okaże się dla niektórych osób zbyt mocny, można rozpocząć od pół łyżki i stopniowo przechodzić do pełnej. Płukanie to, wogóle uzdrawiająco wpływając na jamę ustną, dziąsła, zęby, zasługuje prócz tego na szczególną uwagę osób palących: palący papierosy czują zrana w ustach nieprzyjemną gorycz i uczucie „spalenizny“. Płukanie nadaje ustom świeżość.

Dla kaczek najlepszą karmą jest jęczmień. Rozmiękcza się go i pozwala nabrzmieć, a potem wysypuje na kupę w ciepłem miejscu, tak aby zaczął kiełkować. Gdy się to stanie, suszy się go, by módz przechowywać. Kaczki umieszcza się w czystej, słomą wyłożonej stajni i daje im się jęczmień powtórnie zwilżony. Należy dawać tyle, aby w korytkach nic nie zostało. Za to można dawać częściej. Po 14 dniach są kaczki tłuste. Tak samo można postępować i z innym drobiem, zwłaszcza z gęsiami.

Światło w stajni. Wcale nie wystarcza, jeżeli gospodarz stara się tylko o przewietrzanie stajni, a zaniedbuje dostarczania światła zwierzętom, które także nader do-

broczynnie działa i chorobom zapobiega. Światło jest bowiem doskonałym czynnikiem oczyszczającym powietrze z chorobotwórczych zarazków. Wystawione na działanie światła słonecznego zarazki tracą na żywotności i wkońcu umierają.

Nie spasać kiełkujących kartofli! Ostrzega się przed karmieniem zgoła kiełkującymi kartoflami, chociażby były gotowane lub parowane. W celu uczynienia takich kartofli nieszkodliwemi, trzeba przed użyciem starannie obłamać kiełki. Te ostatnie bowiem zawierają w sobie tak zwaną solaninę, wielką truciznę — szczególnie niebezpieczną dla bydła. — Inwentarz, pasiony kartoflami kiełkującymi, traci wkrótce chęć do żarcia, stoi ze spuszczonym łbem przy żłobie, nogi są sztywne a puls latający; inwentarz w takim razie jest zatrutym. — W najłagodniejszym przypadku sprawia kiełkujący kartofel u krów poronienie, — wogóle zaś wzdęcia i kolki.

Obrona kur od lisów. Szczególnego środka użył pewien właściciel folwarku w Niemczech na odstraszenie lisów. Oto umocował on kogutowi dzwonek u szyi, z którym tenże przechadzał się dumnie wśród ciągłego podzwaniania pomiędzy kurami. Środek ten oryginalny miał się okazać znakomitym, bo od tego czasu nie pokazał się żaden lis i ani jedno kurczątko nie padło ofiarą tego rabusia. Dzwonek ten odstrasza również łasice, tchórze, kuny i innych wrogów drobiu.

ROZMAITOŚCI.

Dola wychodźców ruskich. Z początkiem b. m. zgłosił się do policyi we Lwowie włościanin Piotr Gontarewicz z synami: 15-letnim Iwanem i 17-letnim Wawrzyńcem, i prosił o przytułek, gdyż nie miał środków do życia, ani pieniędzy na powrót w strony rodzinne. Gontarewicz wybrał się był razem z synami na robotę do Prus.

Gdy przyjechali do Oświęcima, nie mogli nigdzie doprosić się zajęcia, a że nie mieli pieniędzy, aby powrócić koleją do domu, byli więc zmuszeni wracać do domu piechotą, do Galicyi wschodniej.

Przez całe dwa tygodnie wśród śniegu i deszczów szli z Oświęcima do Lwowa. Obu chłopakom tak popuchły nogi, że prawie nie mogą ani na krok postąpić. Nieszczęśliwych piechurów odstawiono do aresztów policyjnych, skąd następnie wyszlą ich „szupasem“ do domu. Takie to skutki niesumiennej roboty ukraińskich agentów emigracyjnych.

Śmierć pod kołami pociągu. Koło Bochni pociąg błyskawiczny, zdążający do Krakowa, najechał na 18-letniego Waleryana Turlika, który stał na torze kolejowym, i zabił go na miejscu.

Za obrazę religii. Przed Trybunałem karnym w Krakowie stawał niedawno czeladnik piekarski, towarzysz z pod czerwonej szmaty, Kasper Rozpęd, oskarżony o zbrodnię obrazy religii. Trybunał, po udowodnionej Rozpędowi zbrodni, skazał go na sześć tygodni więzienia z postem co tydzień.

Zniesienie wyroku. Najwyższy Trybunał w Wiedniu zniósł wyrok sądów przysięgłych, skazujący Ilka Kuźmę, parobka ruskiego księdza Książka w Kokoszyńcach, na karę śmierci, za zamordowanie żony księdza i zranienie jego córki. Zniesienie wyroku nastąpiło z tego powodu, że nie zbadano stanu umysłowego skazanego.

Niezwykły pogrzeb. W Kołomyi spaliła się w jednej z tamtejszych bóżnic (synagog) część świętej arki, w której były przechowywane „tory“. Tory dawniejsze, które stały w drugiej przedziałce, pozostały nietknięte. Ponieważ według zakonu szczątkom Pisma świętego, rzeczy dla starozakonnych najświętszej, należy się taka sama cześć i pogrzeb jak zmarłemu, odbył się uroczysty pogrzeb, w którym brało udział około 6 tysięcy ludności żydowskiej, tak mężczyzn jak i kobiet.

Po zebraniu popiołów i włożeniu szczątków od każdej tory do osobnej urny glinianej, okryto je w białe płótno, w jakiem chowają umarłych, poczem wszystkie trzy włożono do skrzyni, zastępującej u żydów trumnę. Następnie, wśród płaczu kobiet, odprawiono modlitwy żałobne. Skrzynię z urnami zaniesiono na noszach przykrytych czarnym suknem na cmentarz, przyczem dzwoniono puszkami, jak podczas każdego pogrzebu. Na razie usta-

wiono te popioły w kostnicy, pogrzebać je mają zaś dopiero później, kiedy zbierze się większa ilość rabinów, którzy mają przyjechać z okolicy.

Na ogólnej radzie tych rabinów ma być też wyznaczony dla całej kołomyjskiej ludności żydowskiej pewien rodzaj pokuty.

Przypadkowe wykrycie żydowskiej spekulacyi. Zdarzyło się, że w karczmie Jośka „Złota Góra“, stojącej przy gościńcu, wybuchł pożar i to właśnie wtedy, gdy Jośka nie było w domu. Naturalnie żona jego Ryfka wobec pożaru była bezradna, zaledwie zdołała coś niecoś ze sprzętów uratować, a zresztą cała karczma spłonęła doszczętnie. Karczma była asekurowaną na wysoką sumę; ludzie, jak zwykle ludzie, zaczęli robić jakieś plotki i przypuszczenia; Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń nie chciało wypłacić premii, tak że ostatecznie w sprawę całą wmieszał się sąd. Sędzia śledczy badał Jośka, badał Ryfkę, ale zeznania ich były zgodne. Skąd powstał pożar? Albo oni wiedzą? Josek był w mieście, Ryfka za szynkfasem. Może to ich syn, mały Mojsze, bawił się zapałkami w alkierzu?

Sędzia zaczyna badać z kolei małego Moszka.

Moszko klnie się, że zapałkami się nie bawił, nawet już spalonymi! Ogień widział, ale czekał spokojnie, aż go matka przyjdzie zabrać z alkierza.

Sędzia drapie się w głowę.

— A o której mniej więcej godzinie mógł być pożar?...

O której godzinie? Moszko patrzy na matkę, potem na żandarma i śmieje się:

— Czi ja wim, o chtóre godżyne?! — woła z tryumfem — jak ja mam wiedżycz, kiedy mame już przedtem zapakowała szczenny zegar?

Sędzia kazał natychmiast zaaresztować i mamę i tata.

Wiedeń z dniem 1 stycznia 1908 roku liczył przeszło dwa miliony mieszkańców.

Nieznana choroba. Pomiędzy robotnikami fabrycznymi koło Częstochowy szerzy się od kilku tygodni niezwykła choroba, której ofiarą padło już około 300 robotników. Choroba rozpoczyna się nagle silnym bólem głowy, poczem przyłączają się u osób słabszych krwotoki i ogólne

osłabienie. Nierzadko zdarza się, że choroba kończy się śmiercią.

Długie życie. 107 lat doczekała się staruszka Elżbieta Pastórkowa, która zmarła w Chwalbomycach w Królestwie Polskiem. Zmarła nigdy nie chorowała, a wzrok miała do ostatniej chwili tak znakomity, że mogła nawet nawlec igłę; tylko słuch miała w ostatnich latach trochę przytępiony. Długowieczność w jej rodzinie była rzeczą zwykłą; prawie wszyscy z rodzeństwa przekroczyli 90-ty rok życia. Zmarła była zamężna, lecz bezdzietna. Z przyjemnością opowiadała o wyprawie armii Napoleona I. do Rosyi.

— Na dworzec Mikołajewski w Petersburgu przybył w tych dniach 142-letni kozak Mikołaj Garszków. Ostatnie dwa lata przebywał starzec w Bałunie u wnuka swego, a gdy ten umarł i znalazł się bez dachu, udał się pieszo w drogę do Petersburga. Szczęśliwie doszedł do Moskwy, gdzie mu dano bilet do Petersburga. Starzec mimo 142 lat trzyma się krzepko.

Straszny czyn pijaka. W Bernie popełnił w tych dniach samobójstwo 43-letni handlarz Ludwik Schultz. Człowiek ten, oddany nałogowi pijaństwa, rozciął sobie brzuch nożem kuchennym w swem pomieszkaniu i to w czasie, kiedy żona i córka znajdowały się w kuchni, wyrwał jelita, porozrywał je na kawały i porozrzucał po kuchni. Krótko po odstawieniu go do szpitala ducha wyzionął. Nieboszczyk był nałogowym pijakiem i swój okrutny czyn popełnił prawdopodobnie w napadzie choroby pijackiej, zwanej delirium.

Posłów socyalistycznych jest na całym świecie 419. Pierwsze miejsce zajmuje Austrya z 87 posłami, dalej idą państwa: Niemcy 43, Francya 50, Luksemburg 7, Anglia 41, Belgia 30, Szwajcarya 2, Kolumbia angielska 3, Argentyna 1, Holandya 6, Serbia 1, Włochy 25, Dania 28, Szwecya 15, Norwegia 15, Finlandya 80 posłów.

Lew w szynku. W mieście francuskiem Albert wymknął się lew z menażeryi. Przechodnie w przestrachu uciekali przed nim, ale lew nie zwracał na nich najmniejszej uwagi — lecz kierował swe kroki wprost do — szynku. Można sobie wyobrazić, jakie oczy zrobili szynkowni go-

ście na widok tak niezwykłego przybysza. Wszyscy czuli, że za chwilę lew rozszarpie ich w kawałki. Tymczasem lew usiadł sobie najspokojniej przy piecu. Niebawem zjawił się pogromca i skrępowawszy zbiega, odstawił go do menażeryi. Tak potulnych lwów pewnie mało na świecie.

Straszny wypadek w trupiarni. We włoskiej gminie Caserta, koło Rieki (nad morzem Adryatyckiem), podczas pogrzebu pewnej dziewczyny, zawaliła się podłoga w trupiarni. Znajdowało się w niej do 40 osób i wszyscy wpadli do piwnicy. Cztery osoby zabite zostały na miejscu, a kilkanaście odniosło śmiertelne rany.

Dzielny pies. Do szynku niejakiego Lapeyra przy placu Charelie w Paryżu wtargnęło pięciu bandytów i zażądało, aby dał im wina, gdy zaś Lapeyre odmówił, dobyli rewolwerów z kieszeni i zagrozili mu śmiercią. Przerażony szynkarz zowołał na pomocnika, znajdującego się w pokoju sąsiednim. Zawołany pośpieszył natychmiast na pomoc z buldogiem, należącym do Lapeyra.

Pies, ujrzawszy postawę groźną bandytów, rzucił się na pierwszego z brzegu i ugryzł go tak mocno, że bandyta przewrócił się skrwawiony na ziemię. Wówczas buldog poskoczył ku drugiemu, gdy tymczasem trzej pozostali zwrócili się co prędzej do ucieczki. Zawzięty jednak pies pogonił za nimi. Przed domem pogryzł i powalił na ziemię jeszcze trzeciego, a czwartemu, który dobiegł był już do furtki ogródka, znajdującego się przed szynkiem, urwał kawał łydki.

Obaj bandyci, powaleni w sklepie, mają poprzegryzane gardła, to też lekarze wątpią, aby mogli utrzymać ich przy życiu. I trzeciego rana jest ciężka, ma bowiem rozerwaną dolną część brzucha. Pewien handlarz wina ofiarował Lapeyrowi za dzielnego buldoga 20 000 fr., ale szynkarz nie zgodził się.

Trująca łyżeczka. Mała ołowiana łyżeczka od kawy stała się powodem nieszczęścia, którego ofiarą padła cała rodzina w miejscowości Iriszczak na granicy niemiecko-galicyjskiej, mianowicie rodzina urzędnika kolejowego Gąsiora. Żona jego i 6-letnia córka zmarły, a Gąsior i dwaj jego synowie są śmiertelnie chorzy. Dochodzenie wykazało, że podczas gotowania jakiejś potrawy wpadła do garnka

mała łyżeczka ołowiana, czego nie spostrzeżono — i to było powodem zatrucia ołowiem potrawy, spożytej przez całą rodzinę.

Stworzenie skrzypiec. Piękna legenda utrzymała się w narodzie, który od niepamiętnych czasów zrósł się z tym instrumentem i powierzył mu wszystkie swoje radości i cierpienia, a mianowicie u cyganów.

Według tej legendy pobiegł w świat młodzieniec, który stracił ojca i matkę, aby szukać szczęścia. Przybył do wielkiego miasta, w którem mieszkał bardzo bogaty król; posiadał on bardzo piękną córkę, a chciał ją wydać za mąż tylko za człowieka, któryby stworzył coś, czego jeszcze dotąd nie było. Wielu już, zwabionych pięknością królewnej, próbowało szczęścia, a każdy z nich dostał się do więzienia. I młodzieniec wyżej wspomniany tam poszedł, ponieważ był na tyle śmiałym, iż zapytał króla, co on właściwie ma zrobić.

W więzieniu zjawiła mu się bogini cyganów, dała mu małą pałkę, skrzyneczkę i włosy z swej głowy, aby je na smyczek naciągnął. Młodzieniec tak zrobił. Bogini wzięła potem gotowy instrument, zaśmiała się w niego i zapłakała, a następnie oddała młodzieńcowi. Następnie młodzieniec zagrał przed królem i otrzymał rękę pięknej jego córki. W ten sposób przyszły na świat skrzypce.

Walka wieloryba z parowcem. Załoga wielkiego parowca przewozowego Towarzystwa Hamburg-Ameryka „Książę Birmack“, który niedawno zawinął do portu Plymouth, opowiada o ciekawej przygodzie, która wydarzyła się podczas podróży. W pobliżu Corunia ujrzano z pokładu olbrzymiego wieloryba, który płynął przed parowcem, wyrzucając w górę strumienie wody. Parowiec dopędził niebawem potwora morskiego, a mijając, trącił go silnie w bok. Zwierzę, podrażnione tem, zwróciło się przeciw okrętowi i rozpoczęło formalną walkę z nieznanym sobie przeciwnikiem. Wieloryb rozpędzał się i uderzał całą siłą w ściany okrętowe, tak, że statek drżał w wiązaniach. Ale uderzenia te nie mogły oczywiście uszkodzić statku. Po dłuższym dopiero czasie zwierzę zrezygnowało z dalszych ataków i popłynęło dalej swoją drogą. Załoga ocenia długość potwora co najmniej na 30 metrów.

Wyludnienie Francyi następuje coraz szybciej. I tak w roku 1905 było 839.843 urodzeń, zaś rok później 806.847, a więc mniej, zamiast więcej. Jeżeli się odliczy od tego 780.196 wypadków śmierci, natenczas przewyżka przyrostu wynosi zaledwie niecałe 27 tysięcy głów. Ciekawa rzecz, że podczas gdy w innych krajach ludność z roku na rok się powiększa, jest we Francyi przeciwnie, tak dalece, że w zeszłym roku urodziło się daleko mniej dzieci, aniżeli w roku 1870, a więc przed 37 laty. W Niemczech wynosiła przewyżka urodzeń w tym samym czasie 800 tysięcy, w Anglii i w Austryi po pół miliona. Jeżeli to tak dalej będzie postępowało, natenczas żadne większe państwo europejskie nie będzie się jej lękało, a już najmniej Niemcy.

Olbrzymia kobieta. W Waszyngtonie (w Ameryce) żyje niejaka Marya Tumbl, która należy do największych olbrzymów Ameryki, a waży 180 kilogramów. Jest ona już po ósmy raz wdową, a wszystkich niemal mężów utraciła przez nieszczęśliwe wypadki. Z ostatnim jeździła na łyżwach. Gdy tenże się poślizgnął i upadł, padła na niego tak nieszczęśliwie, że na miejscu został nieżywy.

FIGLE I ŻARTY.

Przed sądem. Sędzia do winowajcy: Czy ci nie zapowiedziałem ostatnim razem, byś mi się tu więcej nie pokazywał?

Winowajca: Ja też mówiłem policyantowi, co pan sędzia mi zapowiedział, ale ten o niczem słyszeć nie chciał...

Zawziętość. Słuchaj Kuba — rzekł ksiądz — czy aby przebaczyłeś wszystkim swoim nieprzyjaciołom?

Kuba: A jakże, oprócz Maćkowi Zawierusze, który mi się worał w moją rolę, temu nie mogę przebaczyć.

Ksiądz: Jeżeli nie przebaczysz, to nie wejdziesz do Królestwa Niebieskiego.

Kuba (po namyśle): No, przebaczam i jemu, ale pod warunkiem, że jak wyzdrowieję, to mu kości połamię.

W żydowskiej szkole. Icek: Rebe, co się robi z krową, kiedy już nie chce mleka dawać?

Rebe: Nu, wtedy z krowy robi się wół, aby żydki miały czem handlować.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.